Godehard Schramm

Gdańska jesień wśród trzech Niezrównanych

Studia Germanica Gedanensia 25, 364-369

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Gdańska jesień wśród trzech Niezrównanych

Znowu ruszamy innym szlakiem: Tym razem ze Słubic do Kostrzyna, przez Gorzów Wielkopolski w siną dal – przez Wartę, co już przywodzi mi na myśl owego potworka językowego: „Warthe-Gau".[9] Polska i Niemcy: ongiś kraje te były podzielone. A dzisiaj: konwój wojskowy, w eskorcie polskich wozów na sygnale, przejeżdża obok – co nikogo nie dziwi, gdyż są to pojazdy z Holandii, która również należy do NATO. Po drogach krajowych jeździ się wprawdzie sprawnie, ale niebawem nie obejdzie się bez autostrad. Wkrótce dojeżdżamy do Starogardu Gdańskiego. Dookoła Gdańska gwałtowne przemiany, widać wpływy zachodnioeuropejskie oraz uniformizację, o czym świadczy wygląd zakładów i fabryk. W jasnym świetle popołudnia wysoka wieża Kościoła Mariackiego, o płaskim zwieńczeniu – jeszcze parę ulic i auto jakby samo z siebie wjeżdża w Szeroką; jeszcze raz w lewo i już jesteśmy przed hotelem „Hanza". To swojskie miejsce, a zarazem bezpieczna przystań: auto pod czujną opieką nie jest narażone na zakusy złodziei.

Goldwasser dla oczu, gdy się wyjrzy z „nowoczesnego" hotelu o elegancko wkomponowanej w otoczenie ceglanej fasadzie w stronę kunsztownie odrestaurowanych spichlerzy wzdłuż Motławy. Czyż nie są dla siebie jak bracia: „Speicher" = „Spichlerz".

Moja pierwsza ścieżka wiedzie przez ulice biegnące wzdłuż i w poprzek Starówki na Mariacką. Jakżeż potężnie wznosi się nawa kościoła. Jak pięknie, pomarańczowo pobłyskuje plebania ze swymi trzema kopułami. Podczas moich ostatnich odwiedzin miała jeszcze matowy kolor. A teraz do środka, do nawy kościelnej. W przedsionku ta sama mała budka, w której sprzedają książki i tym podobne. Pod białym niebem sklepienia sieciowego – prosto do Pięknej Madonny. Klękam na klęczniku przed figurą, spoglądam na ciepłoniebieski płaszcz, widzę rumiane jabłko, pogodne Dziecię Jezu i łagodne spojrzenie Matki Bożej. W tle złociste promienie, podkreślające nieskazitelność postaci. Dziękuję za podróż i proszę o błogosławieństwo powodzenia na wszystkich moich spotkaniach autorskich. Tej Madonny nie da się nie uwielbiać: całym sobą czcić ją i kontemplować. Dziwne, że „Angebetete" – wyraz oznaczający szczególnie ukochaną i uwielbianą kobietę – w niemieckim prawie całkiem już wyszedł z użycia.

A teraz: na drugą stronę, w kierunku głównej osi Starego Miasta. Przylegające do siebie kamieniczki o swoistych obliczach, których nie sposób ze sobą pomylić, a w połowie Długiego Targu elegancki skręt, który sprawia, że długość ulicy nie nuży. Obrzeża tej okolicy, położone z tyłu ciemne, rozległe podwórza pełne drzew, krzaków i pojemników na śmieci, zdają się być zamieszkane przez miejscowych. Tu i ówdzie ludzie próbujący wyszperać z pojemników coś użytecznego. O poranku niektórzy sprawiają wrażenie, jakby zamiast zwyczajnym śniadaniem wzmocnili się porządnym łykiem „wódki czystej"; mówiąc sami do siebie, idą każdy swoją ścieżką. W tym rejonie zaparkowane są dość wysłużone auta. Niejeden Polak z zażenowaniem, a zarazem nie bez dumy spogląda na fasady Długiego Targu, wiedząc, że nigdy tu nie zamieszka. Nie odkryje też, jak działają zamontowane nieopodal bankomaty, a ceny tamtejszych restauracji będą go odstraszać. Stwierdzenie Andrzeja Szczypiorskiego: „Narodowość mnie nie interesuje" jest tylko po części prawdziwe.

---

[9] Kraj Warty, określenie z czasów okupacji hitlerowskiej – przyp. tłum.

Na straganach – masa owoców… Kawałek dalej, przy niewysokiej, masywnej wieży: na stanie mają tylko kwiaty. Handlarze przyznają jednak, że nie zrażają się swą skromną ofertą.

Pierwszą z moich „trzech Niezrównanych" jest Piękna Madonna Gdańska. W naszej sypialni wisi jej wizerunek, poniżej zaś, w tej samej ramce – akwarela przedstawiająca egzotyczną Madonnę, którą podarował nam Jörg Remé – nasz Przyjaciel-Malarz, mieszkający od dawna w Amsterdamie, urodzony w Gdańsku w 1941 roku.

Drugą „Niezrównaną" jest mała, czerwona siostra pięknej Błękitnej, drobna Madonna z Dzieciątkiem, ozdoba monstrualnego Wielkiego Zegara, którego różne wskazania za każdym razem powodują u mnie dezorientację. Zrozumiałe są tylko symbole znaków zodiaku, które aktualnie wywierają na nas wpływ.

Trzecia „Niezrównana" również znajduje się w Bazylice Mariackiej: to wariant Madonny Wileńskiej w srebrnej sukience. Wokół tej wspaniałej figury, nad srebrnym sierpem księżyca, umieszczono nazwy miejsc, w których podczas II wojny światowej walczyli polscy żołnierze – wśród nich Tobruk i Monte Cassino, a więc także wspólnych dla Niemców i Polaków. Gdyby chociaż w jednym niemieckim kościele narodził się taki pomysł, tylko „w niemieckim wydaniu", świat by się zaraz oburzył – a gdyby jeszcze wynotować te wszystkie miejsca, z których przepędzono nie tylko Niemców, ale i „naszych Żydów"… Ale teraz – do pracy! Jeszcze jedno poranne spojrzenie na błękit statku „Kaszubski Brzeg", na ciemno-drewniano-serdeczną bramę żurawia i na przycumowany „Prom", mały statek przewożący pasażerów do muzeum po drugiej stronie. Pamiętam, że kiedy przechadzałem się wtedy z Agatą, pracownicą Fundacji im. Konrada Adenauera, po drodze do szkoły usytuowanej w ceglastym budynku, pomiędzy domami mieszkalnymi a małymi sklepikami trafiliśmy na niewielki skwerek. A tam, za szpalerem, na parkowej ławeczce siedzi sobie drobna postać; to musi być dzieło artysty – mówię; a na to Agata: „O, tam właśnie siedzi Oskar!" Bębniący na blaszanym bębenku, z uniesionymi pałeczkami.

Naraz przypomina mi się moja pierwsza lektura i to, jak niesłychanie obcy był dla mnie wówczas, w 1963 roku, Gdańsk. Przeczytałem wtedy zdanie Güntera Grassa, który urodził się w 1927 w Gdańsku, że nie ma już „bohaterów powieści, bo nie ma już indywidualistów, bo indywidualność poszła w zapomnienie, bo człowiek jest samotny, każdy jest tak samo samotny, bez prawa do indywidualnej samotności i przez to tworzy bezimienną, bezbarwną masę". Ta książka wzmocniła moje zaufanie do języka, ponieważ w Kociołku Powiedzeń Grassa wciąż wrzało: jak ten skrzat Oskar szkło „rozkrzyczał, rozśpiewał, roztłukł"…

W szkole podobały mi się twarze pełne uwagi. Jedna z uczennic zapytała zdumiona, co sprawia, że tak pozytywnie wyrażam się o jej ojczyźnie. Wspomniałem o uroku niedokończonego, uroku przebudzenia i o tym, że w przeżywaniu codzienności przez Polaków objawia się wymiar duchowy. A poza tym – swoista polska pogoda ducha, która każe swobodnie ustalać przerwy w pracy, by nie dać się zaszczuć dążeniom do odległych celów, lecz akceptuje zalety owych „temporary solutions", czyli rozwiązań skutecznych przez pewien czas. Kiedy jeszcze wymieniłem moją sympatię dla liryki Jana Twardowskiego, jedna z nauczycielek stwierdziła, że jest to zbyt metafizyczno-staromodne i że powinienem raczej przeczytać „plugawo-ordynarno-zuchwałą" książkę Doroty Masłowskiej *Wojna polsko-ruska*, do której jako klucza potrzebowałbym oczywiście słownika polskich wulgaryzmów. Ruszyłem więc na poszukiwanie – i następnego dnia, w uroczej księgarence w Starym Ratuszu, znalazłem obie polecane książki.

Po moim spotkaniu autorskim poszliśmy z Agatą na postój taksówek: tam namówiłem ją, żeby jednak za złoty pięćdziesiąt pojechać „kolejką-gruchotem" na Dworzec Główny: z podniszczonych wagonów niebiesko-żółtej eskaemki mamy realny wgląd w dzielnice miasta, którym przydałby się remont. Na Dworcu Głównym przychodzi nam się zanurzyć w przejście podziemne, z tymi wszystkimi drobnymi, często zaimprowizowanymi sklepami i stoiskami oraz „wolno stojącymi" sprzedawcami obwoźnymi… Dalej wynurzyć się po drugiej stronie i podskoczyć do pobliskiego EMPIK-u – wspaniały skok w czasie na swoiście europejską górną półkę sklepów, pod najnowocześniejszym dachem. I już buszowaliśmy łapczywie w Rogu Literackiej Obfitości: EMPIK, szczyt, „Pik" albo „Piz"[10] współczesnego raju dla kupujących.

Wieczorem po raz pierwszy w Dworze Artusa. Bogato zdobiona sala od razu nasuwa myśl: coś takiego mogło powstać nie tylko dzięki pracy i bogactwu, ale też dzięki społeczności, która potrzebowała wystawnego pomieszczenia. Przytulność w drewnianej osnowie ogarnia salę, a ta jest długa, szeroka i wysoka – choć ani nie za długa, ani za szeroka, ani za wysoka. Wypełniona obrazami i przedmiotami, ucieleśnia pewien umiar, który tchnie „urokiem i godnością". A ze stateczków zwisających ze stropu emanuje ochota do dalekich wypraw. Do tego ciepło bijące z wysokiego aż po sufit pieca kaflowego, którego każdy kafelek różni się odcieniem od swoich sąsiadów. I jeszcze obrazy, na których z namalowanych postaci jeleni wystają prawdziwe jelenie łby o dorodnych porożach. W malowidle obrazującym cnoty i przywary, którego symbolikę tuż obok skwapliwie objaśnia przewodnik, spodobała mi się wizja „wyrzutów sumienia", otoczona przez „męstwo", „lęk" i „rozpacz". Zrozumiałe, że tak wytworna sala użytkowana jest tylko przy szczególnych okazjach. W drodze powrotnej nad Motławą rzucił mi się w oczy jeden ze statków „Żeglugi", który teraz pełni funkcję restauracji.

Następnego dnia wcześnie rano, zanim o 10.00 wybije „polska roboczogodzina", pędem na kolejne spotkanie autorskie dla uczniów. Przeszliśmy z Agatą obok Kamiennego Pomnika, na którym wyryto kontury postaci krzyżaków; poniżej napis: „Hańba dla Gdańska". Historycznego znaczenia tego napisu żadne z nas nie potrafiło odgadnąć. Szkoła prywatna, „Liceum Autonomiczne", przypomina z zewnątrz klasyczny spichlerz z palonej cegły; wewnątrz brak „klasycznego" posmaku szkoły. To duchowa oaza, gdzie młodzież chce się uczyć, aby uzyskać wszechstronne wykształcenie, aby z bagażem wiedzy i umiejętności odnaleźć się w Europie; dlatego w ofercie, obok zwykłych przedmiotów, są w tej szkole – założonej dopiero w 1989 roku – najróżniejsze języki: polski, angielski, niemiecki, francuski, hiszpański, włoski, łacina, i – cóż za pomyślny znak – także rosyjski. I tym razem zadziwił mnie wysoki poziom sprawności w rozumieniu języka niemieckiego. Oczywiste, że młodzi ludzie chcą sobie dzięki temu pozyskać rynek pracy w „Germany"; niektóre pytania od uczniów pokazały, że tutaj naukę rozumie się jednocześnie jako „rozszerzanie świadomości". W drodze powrotnej rozmawialiśmy o wciąż niskim poziomie płac polskich lekarzy i nauczycieli – co prowadzi do czasochłonnych i wykańczających nerwowo akrobacji między różnymi możliwościami zarobkowymi. Na bulwarze nad Motławą zaczepił nas jakiś człowiek, spytał o pochodzenie i nasze zajęcie; stwierdził, że jest „starym gdańszczaninem" – czy nie mielibyśmy dla niego „paru złotych".

[10] Np. Piz Palü – przyp. tłum.

Po drugiej stronie mostu nad Motławą: jakiż rozkwit prac budowlanych! Publiczne upamiętnianie nie zawsze jest łatwe. Nietrudno było uwiecznić wizytę Jana Pawła II, wieszając tablicę z brązu tuż obok portalu Bazyliki Mariackiej. Na trasie w stronę dworca pewien mały kościółek poświęcił swój cały portal upamiętnieniu tych epokowych odwiedzin.

W międzyczasie ulotniłem się na krótko z naszej konferencji, aby nie przeoczyć okazji do kupienia ładnych znaczków. Na „Poczcie" najpierw trzeba wziąć numerek; na moje zapytanie „Znaczki Jubileuszowe z Papieżem" od razu się znalazły: wydrukowany na cennej srebrnej folii znaczek o nominale 10 zł z portretem papieża (taki znaczek można by nawet oprawić) i arkusz z 25 znaczkami. Każdy z nich przypomina jeden rok z 25 lat papieskiej posługi, od roku 1978 do 2003. Wśród tych 25 lat misyjnego dzieła – każdy znaczek w innym kolorze i z oznaczonym rokiem – również Brama Brandenburska. Znalazł się tu także zamach z 1981 roku. Całość, z tym jednym znaczkiem poplamionym krwią, składa się na mozaikę obrazów: jest wyrazem wdzięczności i uznania dla osobistej drogi krzyżowej, którą Papież żarliwie kroczy na oczach milionów ludzi; zapewnia: „To wspaniale, Ojcze Święty z naszej Polski, że jesteś!"

Podczas konferencji jasne się stało, że w naszej zintegrowanej Europie sprawy „ekstremalnie się skomplikują" – tyle, że Europie nie wolno stać się synonimem „ekstremalnego skomplikowania". Nie chcemy jednak „przepisywać recept" na integrację, lecz tylko – zgodnie ze znaczeniem łacińskiego słowa – „gromadzić" wizje i doświadczenia, a więc: „con-ferre". Od czasu do czasu spoglądałem na zwieszające się z sufitu sali Dworu Artusa stateczki: nic tylko mamią nas odległymi krainami, zachęcają do podróży i rozbudzają apetyt na morskie powietrze…

W międzyczasie przechodzimy obok „przedproży", zdobnych w płaskorzeźby o bogatych formach i w kamienne rynny z rzygaczami – którymi woda mogłaby urokliwie spływać, gdyby tylko znów wszystkie były sprawne. Innym razem usłyszałem dziwny szum: po drodze do Starego Ratusza w głąb miasta; byłem zdumiony, że tu właśnie szemrał sobie spiętrzony strumień, kiedyś chyba potok młyński. Robiło się coraz zimniej. Kupiłem sobie zamszowe rękawiczki: z Włoch, w EMPIK-u.

Kiedy ponownie znalazłem się w sali Dworu Artusa, ktoś wspomniał mi o niewielkim opowiadaniu E.T.A. Hoffmanna *Dwór Artusa*, objętościowo nie większym niż cienki tomik wydawnictwa Reclam. I znów „okrężną drogą" – ale jakże piękną – wypełniłem lukę w swoich wiadomościach. Dopiero w domu mogłem nadrobić tę zaległość. Na początku opowiadania poeta niezwykle obrazowo roztacza przed nami urok tej sali… I oto „cnoty już rozpłynęły się" na tamtym malowidle o „Sądzie ostatecznym", które powstało w 1602 roku, „do niepoznaki wysoko w szarej mgle", tedy „występki w postaci cale urodziwych niewiast w lśniących kolorowych szatach uwypuklały się nader uwodzicielsko…".[11] „Magiczne wprowadzenie" E.T.A. Hoffmanna miało miejsce w roku 1816: oto młody pomocnik kupca popada w „imaginacje", przegapia służbowe „Aviso"… Przy tym E.T.A. Hoffmann wciąż niezauważalnie lawiruje między widzialną rzeczywistością a światem fantazji, opowiadając nam historię młodego człowieka dążącego do tego, by stać się wolnym artystą.

---

[11] Hoffmann, E.T.A. (1960): *Dwór Artusa.* W: tegoż: *Bracia Serafiońscy*. Przełożył Andrzej Rybicki. Warszawa: Czytelnik. S. 124f.

Kto spojrzy na mapę „Zatoki Gdańskiej", zobaczy delikatne, wąskie linie „Mierzei Wiślanej" i „Mierzei Kurońskiej", za którymi rozciągają się rozległe wody „Zalewu Wiślanego" i „Zalewu Kurońskiego". Przy jego krańcu zachodnim rozgałęzia się w deltę Wisła, a przy krańcu północnym uchodzi do morza Pregoła, rzeka płynąca przez dawny Königsberg. Na kpinę historii zakrawa, że „Obwód Kaliningradzki" wciąż jeszcze znajduje się pod okupacją rosyjską; oczywiście, w międzyczasie teren ten stał się bardziej dostępny, jednak to upokarzające, że w tym „Obwodzie" miasto Tilsit[12] wciąż nazywa się „Sowetsk", chociaż „Związek Radziecki" od dawna już nie istnieje i nie ma nic chwalebnego, co mogłoby się kojarzyć z „radzieckością". Przecież w Rosji nawet „Leningrad" został z powrotem przemianowany na pierwotny „Sankt Petersburg".

Pewnego wieczoru, pod ciemnymi belkami sufitu w Starym Ratuszu, usłyszałem po raz pierwszy pisarza Arno Surmińskiego, czytającego jeden ze swoich utworów. Autor ten przyszedł na świat w roku 1934 w Prusach Wschodnich, po deportacji rodziców w 1945 roku pozostał jeszcze przez pewien czas w swoich rodzinnych stronach. Po powrocie do domu od razu zamówiłem sobie jego powieść *Lato czterdziestego czwartego czyli Jak długo jedzie się z Niemiec do Prus Wschodnich?* Zacząłem czytać i czytałem z coraz bardziej zapartym tchem, nie pominąłem ani jednego zdania i drżałem, gdy młody żołnierz Hermann Kallweit na Mierzei Kurońskiej spotkał swoją Magdalenę, aby po zbombardowaniu i spaleniu Königsbergu więcej jej nie zobaczyć. Dawno żadna książka nie doprowadziła mnie do łez.

I cóż za zwrot ku dobremu, cóż za „odwrócenie" dawnych błędów: oto Uniwersytet Gdański wyróżnia się niezłomną odwagą, od lat już wydając w Instytucie Filologii Germańskiej rocznik „Studia Germanica Gedanensia", w którym publikowane są – w języku niemieckim – nie tylko krytyczne eseje, lecz także teksty autorów niemieckojęzycznych. Każdy z tych roczników uwrażliwia na niuanse – to jakby swoisty Duchowy Most między Polską a Niemcami. Kiedy koresponduję z Andrzejem Kątnym albo rozmawiam z Mirosławem Ossowskim, czuję, że wzajemne porozumienie z takimi ludźmi jest absolutnie nieskrępowane i radośnie możliwe. Czasami uśmiechamy się, gdy rozmowa schodzi na temat polsko-niemieckich kontaktów językowych – od grynszpanu („Grünspan") po pechowca („Pechvogel"); polski „ranny ptaszek" –„der frühe Vogel" – u nas nazywa się „Frühaufsteher"… A więc każdy język europejski, który jako tako znam, ma swoje szczęśliwe Obrazy-Wyrazy. Są one częścią posagu – podobnego do uczucia „wewnętrznego" pokrewieństwa między Gdańskiem, Stralsundem a Lubeką.

Następnego dnia przyjechała z Norymbergi do Gdańska moja żona – po pełnej przygód podróży przez Krainę Nocnych Autobusów, w towarzystwie samych Polaków. Najkorzystniejszym połączeniem był „Polski Bus". Wyjazd w nocy. Ona sama wśród powracających do domu Polaków. Czy w ogóle się nie boi? Autobus nabity. Czy dostanie z powrotem swój bagaż? Tylko jej przydzielono miejsce, obok którego jest jeszcze jedno wolne siedzenie. Ledwo bus ruszy, już lecą na dwóch ekranach filmy: kobiety zakute w kajdanki, BrutaloSex. Gdzieś przed granicą zapowiedź: „Napiwek" i „Dowody". Obywa się jednak bez kontroli granicznej. Wkrótce potem na ciemnym parkingu: „Tylko przerwa na papierosa"! Z ciemności wyłaniają się dwaj mężczyźni: „Gramy". Gra na refleks: trzy kubki, które szybko się przesuwa, a tylko pod jednym jest moneta: „Akcja!" Jeden drażni drugiego; ten przechwala się zwitkiem pieniędzy

[12] Pol. Tylża – przyp. tłum.

w kieszeni na piersi. Stawia 100 euro. Mówi do gościa stojącego obok: „Potrzymaj!" i daje mu swój zwitek. Stówa w plecy. Gwar. Doping. Nagle człowiek, któremu dał swoje pieniądze, ulatnia się, również ten z trzema kubkami znika bez śladu. Tumult. Pieniądze trafił szlag, wszystkie pieniądze, które zarobił w Niemczech i miał przywieźć do domu. Kruczoczarna noc. Współpasażerowie próbują namówić zrozpaczonego, by nie przerywał podróży. W autobusie wielkie poruszenie. Pewna pani do jedynej Niemki: Musi pracować w Niemczech, mąż jeszcze nie ma emerytury. Inny zarabia tylko tyle, by móc opłacić lekarzy. Inna znów kobieta pracuje w hotelu; ten, który załatwił jej pracę, zakwaterował ją w niedrogim lokum, wraz z innym mężczyzną: „Jeżeli nie będziesz grzeczna, powiem twojemu mężowi w Polsce…" Moja żona pyta się jej, czy cieszy się z powrotu do domu: „Dwójka dzieci, 14 i 17 lat, z pomocą ojca tak czy owak sobie poradzą, nikt się nie cieszy, gdy wracam na chwilę, zostaje mi tylko sprzątanie". Ktoś narzeka, że papież ma za dużo złota – lepiej rozdałby biednym. Na zewnątrz stopniowo się rozjaśnia. Oto jest pierwszy przystanek. Po bitej godzinie autokar wyprzedza, głośno trąbiąc, taksówka. Kierowca się zatrzymuje. Ktoś, kto wcześniej już wysiadł, cały w nerwach. Zostawił swój portfel na tylnym siedzeniu. Wciąż tam leży. Na następnym przystanku ktoś dzwoni do kierowcy: Ze zdenerwowania i radości z ponownego spotkania jakiś podróżny zapomniał wszystkich prezentów dla żony, dzieci i kochanki. Kierowca go uspokaja: Gdy autokar dowiezie wszystkich na miejsce i będzie wracał do Niemiec, przywiezie wszystkie rzeczy. Kiedy w małej miejscowości pod Gdańskiem pozostaje już tylko garstka pasażerów do rozwiezienia, by po przesiadce dotrzeć mikrobusem do celu, moja żona cieszy się, że jej niewielki bagaż znalazł się wśród przepakowywanych walizek. „W ten sposób przeżyłaś kawałek prawdziwej Polski" – mówię. Na to ona: „Chwilami czułam się naprawdę nieswojo".

Przełożył Adam Gorlikowski